

A soldier in full tactical gear, including a helmet with night vision and a rifle with a scope, is aiming forward. The image has a gritty, high-contrast aesthetic with a dark, textured background.

NAVAL

OSTATNICH GRYŻĄ PSY

Jak zostałem szturmowcem GROM-u?

BELLONA

NAVAL



GROM

**OSTATNICH
GRYZĄ PSY**

NAVAL

OSTATNICH GRYZĄ PSY

BELLONA

W A R S Z A W A

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
Kamila Szkolnik-Góldyn

Redaktor prowadzący
Zofia Gawryś

Redaktor techniczny
Bożena Nowicka

Korekta
Ewa Grabowska

Copyright © by Naval, Warszawa 2017
Copyright © by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2017

Dołącz do nas na Facebooku
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Zapraszamy na strony
www.bellona.pl, www.ksiegarnia.bellona.pl

Nasz adres: Bellona SA
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa
tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78
faks 22 652 27 01
biuro@bellona.pl

ISBN 978-83-11-14367-8
Nr 12124



Książkę wydrukowano na papierze
iBOOK Extra 2.0 80g m/2 dostarczonym przez Igepa Polska Sp. z o.o.

„Chcąc pracować w jednej z najlepszych jednostek na świecie, trzeba się godzić z najcięższym treningiem i liczyć się z najbardziej bolesnym poświęceniem”.

Mój przyjaciel Tylut

Pamięci chłopaków, którzy oddali swoje życie, abyście mogli żyć bezpiecznie i czytać takie książki jak ta.

„Szczupły”

„Kaśka-Żuku”

„Diabeł”

„Ousi”

„Poziomka”

„Witek”

„Mirek”

„Krzychu”

„Gienek”

CZĘŚĆ I

NAVAL POCZĄTKI

11 WRZEŚNIA

Maska dobrze przylega mi do twarzy. Robię przysiad, by pozbyć się jak najwięcej powietrza z kombinezonu nurkowego. Odchylam kryzę i słyszę, jak syczy, wydostając się szparą. Wstając, czuję, że gumowa powłoka ściska mi ciało, garby pofałdowanej gumy wyglądają jak nadmiar skóry u jaszczurki o czarnym kamuflażu. Wkładam automat oddechowy do ust. Patrzę na Bodka, który już na mnie czeka na skraju betonowego nabrzeża. Lekkie skinienie głową i robimy stanowczy krok do przodu, by po sekundowym opadaniu poczuć, jak o poranku budzi nas wrześniowa woda Bałtyku. Robimy próbne zanurzenie. Woda w kanale portowym nie jest zbyt przejrzysta, tak więc po wyszasowaniu się gdzieś na dwóch metrach musimy przed samym okulem maski nurkowej pokazać sobie nawzajem, że jest okej. I jest okej. Kciuk do góry, wypuszczamy powietrze z płuc i spotykamy się na powierzchni.

Zadanie na dziś to pływanie na dystansie. Rozciągnięta pomiędzy dwoma bojami linka wyznacza nasz dzisiejszy stu pięćdziesięciometrowy dystans, który mamy pokonać dziesięciokrotnie, czyli, jak łatwo obliczyć, przed nami półtora kilometra. Jak to zwykle bywa, gdy jest się młodym, a tu ja nim jestem, do mnie należy ciągnięcie za sobą czerwonej boi na znak, gdzie się nasza dzielna para podziewa i w jakim tempie przebiera płetwami, rozdzierając mroczną toń Zatoki

Gdańskiej. Płynę trochę z tyłu za Bodkiem, lubię z nim nurkować, nie przesadza z tempem, dziś to szczególnie ważne, by się całkowicie nie spalić. Mamy na popołudnie zaplanowane zdawanie wuefu, a to w wojsku rzecz święta. Ot, takie coroczne zawody. Ale na razie muszę równo machać płetwami. Jest to kolejny dzień kursu nurkowego, utrzymanie się w toni nie stanowi więc już dla mnie problemu, jedyne, nad czym muszę zapanować i nadal się tego uczę, to to, by przez pół godziny nie zużyć całego zapasu powietrza, a pod wodą jakoś bardziej chce się mi oddychać niż na powierzchni.

To nie tylko rytuał, ale i wymóg, by po nurkowaniu wejść pod prysznic w całym sprzęcie i obmyć się ze słonej wody. Sprzęt obsługowany, dopiero teraz mam w głowie zaliczenie wuefu. Z Warszawy przyjechał gość ze szkoleniówki. Nie ma ścimy i egzamin jest w pełnej regulaminowej oprawie. Choć większość nas codziennie dozujecie sobie o wiele więcej wysiłku, to i tak naocześnie musimy udowodnić, że się podciągamy, biegamy i takie tam. No oczywiście należy to zrozumieć, bo są też tacy żołnierze co, że tak powiem, stronią od wysiłku fizycznego. A i u nas ostatnimi czasy znaleźli się chętni do bycia komandosami z nadania, mamy więc nie lada zabawę, chórem licząc im podciągnięcia do trzech. Ich popisy dzieli występ na drążku Stacha, który, mając już pięćdziesiąt wiosen, od niechcienia zalicza dwadzieścia podciągnięć. Choć na piątkę trzeba zrobić osiemnaście, to jakoś nikt nie robi mniej. No, jak Stachu machnął dwadzieścia, to młodsze roczniki nie mogą się oszczędzać. Na piątkę trzeba też zrobić osiemdziesiąt brzuszków w dwie minuty i tu nikt nie przesadza z zawyżeniem normy. Przed obiadem jeszcze biegniemy sprint w dyscyplinie wahadłowej, czyli dziesięć metrów tam i z powrotem dziesięć razy. Ot, taka rozgrzewka przed obiadem. Dopiero na deser będzie bieg na trzy kilometry – wisienka na torcie.

Podczas obiadu dochodzą nas słuchy, że w Stanach jakiś samolot zahaczył o jeden z wieżowców w Nowym Jorku i jest dużo ofiar. No cóż, nikt nie wie, co przyniesie dzień, takie życie. Nie przejadam się, choć głodny jestem jak wilk, bo woda wyciąga. Po obiedzie, po małej drzemce, budzi się we mnie dusza sportowca. Jestem więc gotów na zmierzenie się z chłopakami. Większość to moi dobrzy kumple z kursu podstawowego. Teraz jako instruktorzy na kursie nurkowym mają zabawę, podtapiając mnie ponad przydział. Dlatego obiecuję sobie, że pokażę im plecy. Taki mam zamiar. Na kursie nurków działań bojowych nie ma niestety zbyt dużo czasu na bieganie i szlifowanie formy. Pożegnanie na starcie biegu brzmi zaskakująco – mamy biec szybko, bo ponoć będziemy się pakować i wracać do Warszawy. Ale o co chodzi? Nikt nic nie wie. No i START. Nie pamiętam takiego biegu na egzaminie w firmie, by się wolno biegalo lub by ktoś nie pobił życiowego rekordu. Schemat biegu jest prosty – przód ciągnie, a tył pcha. Dlatego na tej fali biegowi maruderzy nie wierzą na mecie w swe sportowe osiągnięcie.

Biegnie mi się dobrze, tym bardziej że nie biegniemy bieżnią wkoło boiska, tylko na trasie od Westerplatte w stronę Przeróbki. Tak jakoś jest, nie wiem czemu, że na prostym odcinku, takim jak ten, tempo jest zawsze szybsze niż na bieżni. Te biegi są do siebie bardzo podobne, do połowy dystansu biegniemy w peletonie i to mi bardzo pasuje. Wolę, jak z początku ktoś narzuca dobre tempo, a wybitnych biegaczy wkoło mnie sporo i niby nie ma rywalizacji i na piątkę wystarczy 11:30, ale po prędkości widać, że nie ma miękkiej gry. Asfalt nagrzwany jest popołudniowym słońcem i zaczyna mi być sucho w gardle. Na tyle sucho, że tuż przed metą wyprzedza mnie Edek i wprowadzie z dobrym czasem, bo 10:22, ale jestem drugi. No nic, tłumaczę sobie oddanie pierwszeństwa respektem przed instruktorem. W wybornych humorach wracamy do bazy, lecz

na dziś to koniec wesołości. Jest decyzja z Warszawy, że mamy się natychmiast pakować. Całą jednostkę postawiono w stan gotowości bojowej. Obraz przekazywany na żywo w telewizji nie wymaga komentarza, serce podchodzi do gardła na widok walących się nowojorskich wież.

EPOKA GIERKA

Jak na trzylatka biegłem naprawdę szybko, co chwilę oglądając się, żeby zobaczyć, czy ona wciąż jest za mną, ona – czyli starsza o cztery lata kuzynka. Od babci do naszego nowego domu był niespełna kilometr i sam chciałem tam trafić, nie potrzebując żadnego anioła stróża, a tym bardziej anielicy. Facet, mając trzy i pół roku, wiedział swoje i chętnie bym jej wtedy uciekł, ale była starsza i miała przewagę szybkości. To była dla mnie ujma, przecież to dziewczyna! Takie to już życie, że od najmłodszych lat albo ktoś nas goni, albo my za czymś biegniemy. Słyszeliście zapewne o podziale klasowym w równym komunistycznym społeczeństwie. Mnie zdarzyło się urodzić w rodzinie robotniczo-chłopskiej. Inaczej tego nazwać nie można, patrząc z perspektywy Polski lat siedemdziesiątych. Rodzice ciężko pracowali, by wybudować dom i nakarmić naszą trójkę. W epoce Gierka udało mi się posmakować szklaków i wyrobów czekoladopodobnych popijanych oranżadą, zanim nastał Jaruzelski i lata osiemdziesiąte, w których już tylko z opowieści Mamy słyszałem, że kiedyś w sklepie prócz półek były jeszcze słodyczne. Życie w tamtych czasach dzieciaków nie rozpieszczało, o tym, że gdzie indziej jest lepiej, nie wiedzieliśmy, bo i skąd. Ameryka czy Zachód były tak samo odległe jak gwiazdy na niebie, które są, ale tak naprawdę, co kogo one w tej oddali obchodziły. Czasami tylko jakaś gwiazda spadała

z ciemnego nieba, tak jak paczka z „rajchu” do sąsiada, i wtedy udało się posmakować inności. Na co dzień była szarość taka jak okładka zeszytów oferowanych w sklepie papierniczym. Ale to było jednak dzieciństwo, którego źle nie wspominam. W tym czasie ukształtował się mój charakter, który pchał mnie do przodu, bo chciałem zobaczyć, co jest za kolejną górką, a może nawet zejść dalej niż inni.

Ćwicząc w wojsku na wszelkich torach sprawnościowych, zacząłem się zastanawiać, dlaczego z taką łatwością przychodzą mi różne zręcznościowe wygibasy. Tory przeszkód są zmyślnymi budowlami, to równoważnie, ściany do wspina się, płoty, rowy, tunele w niedokończonych domach itd. Przebieganie po nich nigdy nie sprawiało mi problemów, co więcej, było wręcz frajdą. Tak zapamiętałem te harce w ogrodzie babci i na okolicznych budowach. Urodziłem się w dużym poniemieckim familoku, dziadek z babcią po przybyciu na tak zwane ziemie odzyskane dostali go w zamian za to, co zostawili na Kresach przedwojennej Polski. Jestem pewien, że nic im nie było w stanie wynagrodzić tego, co pozostawili, tam była dla nich Polska, tam byli u siebie.

Dom zagospodarowali na wielomieszkaniowy blok, w którym z czasem ich dzieci wychowywały swoje dzieci. Za domem posadzili wielki sad, a wkoło był duży kawał pola czekającego na ciężką pracę. Gdy się urodziłem, dziadka już nie było, pozostała cudowna babcia i ogród, który był moim pierwszym torem przeszkód. Mieszkała nas tam spora gromadka, ogród tętnił więc życiem. Rosły w nim wielkie orzechy, rząd czereśni, grusze i jabłonie, i choć sad był wielki, trzeba było stoczyć wiele walk, aby dostać się na najlepsze drzewo, czyli zarazem najwyższe. Starsze siostry i kuzynostwo bronili dostępu do najwyższych partii potężnych orzechowców, bo któż chciałby siedzieć na niższej gałęzi. Na dodatek byłem smarkaczem, którego trzeba było pilnować. A że z góry lepiej widać, to ar-



Na rękach ukochanej babci Gienii. W tyle sad, który był moim pierwszym torem przeszkód, 1977 rok

gument, by mnie oraz kuzyna, jeszcze większego smarkacza, bo o rok młodszego, nie puszczać, był słuszny.

Oczywiście nie jestem wyjątkiem, całe nasze pokolenie urodzone w latach siedemdziesiątych ma podobne wspomnienia z dzieciństwa. To była jedyna rozrywka, my, dzieci z przedmieść i wiosek, mieliśmy sady, ogrody, lasy, a dzieciaki z miast trzepaki i mizerne łańcuchowe huśtawki w blokowiskach, place zabaw wtedy były jeszcze rzadkością. Na swoim terenie znałem każde drzewo. Oczywiście im wyższe, tym wspanialszy był widok na okolicę. To wspinając się po nich, mój młody organizm nabierał sprawności i siły, a odwaga, hm, po prostu nie czuło się strachu i tyle, o lęku wysokości nikt wtedy nie słyszał.

Kiedyś jednak trochę się bałem, mimo że wiele razy spadłem z drzewa, ale raz dość nieszczęśliwie, bo akurat na kawałek szkła i przeciąłem w poprzek stopę. Byłem w strachu, że jeszcze w tyłek dostanę za rozwalenie nogi. Ale co tam, i tyłek, i stopa zagoiły się jak na psie. Tak jak już wspomniałem, gdy

miałem trzy lata, przeprowadziliśmy się z ojcowizny mojego taty do własnego, nowo wybudowanego domu. Gierek pozwolił się budować, dlatego na polach okalających nie tylko Racibórz, ale wszystkie polskie miasta powstawały przedmieścia złożone z kwadratowych domków, najlepiej bliźniaków, by o koszt jednej ściany było taniej. Pierwszego okresu po przeprowadzce nie wspominam zbyt dobrze. Wybudowaliśmy się na ulicy jako pierwsi, nie było więc w pobliżu żadnych dzieci. Siostry, starsza o pięć lat Ewa i o cztery lata Jola, nie chciały mieć ze mną za wiele wspólnego. A do kuzyna, który pozostał w dawnym domu, nie wiadomo dlaczego było dla czterolatka za daleko, by go samego puszcząć.

Oddaliłem się od ogrodu tylko o kilometr, to tam skakaliśmy po drzewach jak małpy, tam byłem wolny, tam była ukochana babcia czuwająca nad naszym bezpieczeństwem. Teraz dostałem pokój, w którym byłem sam, po sąsiedzku były, co prawda, siostry, ale co to oznacza, wie tylko ten, kto miał starsze rodzeństwo. Wojna domowa była na porządku dziennym. Pokój nastawał z chwilą powrotu rodziców z pracy. Panował wtedy niepisany pakt o nieagresji i nie pamiętam, by któreś z nas się skarżyło.

Z czasem jednak zacząłem dostrzegać zalety mojego nowego miejsca. Po mroźnej zimie w 1978 roku, którą pamiętam jako coś wspaniałego, bo były tak wielkie zaspasy, że wydrążone tunele stanowiły ciąg labiryntów, w których nie trzeba się było nawet schylać, nastała wiosna. Wyobraźcie sobie ulicę, na której po obu stronach rozpoczęto budowy domów jednorodzinnych, rosłem razem z tymi budowlami. Nie to, żebym zapomniał o sadzie, ale tu powstał prawdziwy tor przeszkód. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych budowało się własnym sumptem i z tego, co było pod ręką. Budowanie domu mogło trwać kilka lat. Ludzie nie byli leniwi, ale po prostu gospodarka planowa zapomniała o indywidualnym

odbiorcy i nie było z czego budować. Niejeden dom stał niedokończony długi czas i stanowił, wraz z kupą piasku obok, wspaniałe miejsce do zabaw. Na ulicy zaczęło przybywać dzieciaków. Jedne się wprowadzały, inne przyjeżdżały z rodzicami, którzy każde popołudnie spędzali na budowie, by jak najszybciej przeprowadzić się na swoje. Tak więc gromada dzieciaków bawiła się na ulicy lub na pobliskiej budowie, na której akurat nie trwały prace.

Mnie wolno było oddalać się tylko do drugiego sąsiada, ale co tam, ciekawość świata powodowała pewną niesubordynację. Na jednej z wolno stojących posesji zrobiliśmy boisko, które było taką pokusą, że nie liczył się strach przed burą za spóźniony powrót do domu. Zawsze słyszałem, że nie ma zgody na to, by wychowała mnie ulica. Ale nie chciałem sam siedzieć w pokoju, wołałem grać z Przemkiem, Krzyśkiem i innymi chłopakami w piłkę i palanta. Dzielnica, w której mieszkałem, nazywała się Ocice i była podzielona na poddzielnice: Ocice Górne, Ocice Dolne i Ocice Wieś. Ocice były przedwojennymi peryferiami Raciborza. Na potrzeby komunalne i zakładu przetwórstwa warzywno-owocowego wybudowano tam szeregowe domki, w których mieszkaly po cztery rodziny. Były ponoć też miejscem, w którym w oddaleniu od miasta lokowała się miejscowa elita, dlatego Ocice szybko zasłużyły sobie na drugą nazwę – klaine Moskau, czyli mała Moskwa. W nazewnictwie potocznym funkcjonował przedwojenny podział dzielnicy, czyli był: Sztatrand, Noiland, Zyglunki i Zajdel. Zajdel był fabryką produkującą markowe wina i dżemy mniej sławne.

Po szkole, w domu, nigdy się nie nudziłem. Można powiedzieć, że samo życie dbało o naszą krzepę. Mam na myśli to, że czyi rodzice mieli większe pole, ten był silniejszy, bo od najmłodszych lat trzeba było po prostu pomagać rodzicom. Zrozumie to ten, kto miał do obrobienia hektar truskawek lub inne obowiązki. My hektara pewnie nie mieliśmy, ale swoje



Konno przez Dunajec z wujkiem Jankiem, bratem mamy, 1982 rok

ary trzeba było obrobić. Dla mnie każdy rząddek to była męka. Zbierania truskawek szczerze nie lubiłem, ale zawsze byłem chętny do noszenia koszyczków. Farmerstwo dla początkujących. Dla sześcio- czy siedmiolatka po dwa koszyczki w dłoni, a z czasem na zakładkę po cztery, to prawdziwy marsz farmera. Kończyły się truskawki, zaczynały czereśnie. Czereśnie uwielbiałem zrywać. Wysoko na drzewie, mając piękny widok na rolnicze tereny, czułem się wolny. Wujek Józek miał w okolicy chyba największy sad czereśniowy. Dobrze wspominał tamte lata. Za sumienną pracę zawsze był godziwy zarobek. Zrywałem czereśnie od świtu do zmroku. Podziwiałem facetów, którzy przestawiali od drzewa do drzewa sięgające do nieba drabiny. Sam się nieraz nieźle nagimnastykowałem, by taką drabinę dobrze postawić. Nie chciałem pomocy starszych, bo, co tam, dam sobie radę. Mając dziesięć lat, tańczyłem z drabinami po sadzie jak baletnica, a z czasem one już nie były takie ciężkie. W przerwach z kuzynem Piotrkim skutecznie z wiatrówki zwalczaliśmy szpaki, potem w wojsku nie miałem problemu z celnym strzelaniem.

By zarobić własny grosz, robiło się wszystko. Chodziło po-
dawać cegły na budowę czy zbierać ziemniaki. W moim przy-
padku wołałem nosić worki z ziemniakami. I tak mijał rok za
rokiem, mniej nauki, więcej pracy, bo po co się uczyć, jak i tak
z tego pieniędzy nie będzie. W szkole nie uczyłem się źle, ale,
jak to się mówi, zdolny, ale leń. A do tego nauczyciele z powo-
łaniem trafiali się rzadko. Do czwartej klasy wszyscy lubiliśmy
matematykę. Potem już nie. Za to na historii i geografii siedzia-
łem wpatrzony w panią, która opowiadała o królach, bitwach,
morzach i odkrywcach. Siadywałam potem w domu nad at-
lasem i palcem po mapie zwiedzałem kontynenty i kraje. Jak
obco i niedostępnie wyglądała Afryka i Himalaje. A ktoś, kto
brał udział w powstaniu warszawskim, był tak samo odległy,
jak powstaniec listopadowy czy woje Mieszka I.

Szkoła za to dawała szanse na rozwój fizyczny, i to nie tylko
na wuefie. Dyrektor chętnie zwalniał z zajęć siódme i ósme
klasy, aby zajęły się malowaniem płotu, wrzucaniem kilkun-
stu ton węgla do piwnicy i przesypaniem go w miarę potrzeby
z pomieszczenia do pomieszczenia. Za to dostawaliśmy obiad
w stołówce, chętnie więc te wszystkie prace wykonywaliśmy.

Podstawówka naprawdę była dobrą szkołą. Sami swoi,
wszyscy z jednej dzielnicy, znali się rodzice, znały dzieci i na-
uczyciele, jeśli ktoś coś nabroił, to i ksiądz z ambony palcem
pogroził. A dyrektor nie musiał patrzeć do dziennika, by wie-
dzieć, kto jest kto, bo uczył również naszych rodziców, a teraz
z nami się użerał jak kilkanaście lat temu z nimi. Powtarzano,
że im klasa starsza, tym gorsza, ale nie było jakichś strasznych
przewinień, wybita szyba, bójka na przerwie, naprawdę nic
wielkiego.

Moim największym przestępstwem było niewracanie do
domu na czas. Ale jak można było wrócić na czas, gdy aku-
rat najlepsi koledzy grali w piłkę. A w piłkę grać lubiłem,
i to bardzo. Lubiałem też biegać. Biegałem czasami z uczniami

z wyższych klas i nie ustępowałem starszym kolegom. Co zaś do biegania za piłką na boisku, nie zawsze przekładało się ono na wynik gry. To, że wszędzie mnie było pełno, nie dawało efektu, ale tak to już jest w futbolu, że nie zawsze wygrywa ten, co przebiegnie więcej kilometrów.

NAVAL



GROM

NAVAL

TAJEMNICE REKRUTACJI DO NAJBARDZIEJ ELITARNEJ POLSKIEJ JEDNOSTKI

Urodził się w Raciborzu, zdobył zawód ślusarz-spawacz i podjął pracę w Fabryce Kotłów Rafako. Ten zwykły chłopak cały czas miał jednak wielkie marzenie – zostać żołnierzem jednostki specjalnej.

Dzięki nadludzkiej determinacji udowodnił, że niemożliwe nie istnieje.

Jego długa, kręta i wyczerpująca ścieżka do Jednostki Wojskowej GROM wiodła przez Wojskową Komendę Uzupełnień, pułk specjalny w Lublińcu i misję Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Libanie. Z naderwanymi ścięgnami, wyjąc z bólu, stawiał się na wstępną selekcję do jednostki. Dopiero tu zaczęło się prawdziwe piekło – selekcja do jednostki GROM w bieszczadzkiej głuszy, tygodniowy morderczy obóz, którego poziom trudności zszokowałby nawet brytyjskich komandosów z SAS.

Po raz pierwszy ujawnione sekrety selekcji do jednostki GROM!

patronet



onet.

DEMOTYWATORY.PL

lubimyczytać.pl

STRZAŁ
STRZAŁ

Prasa Świat
KSIĘGARNIA

SPECIAL OPS

Book

Book

Poligon

Wojsko



Polska Zbrojnia

MILITARIA



ISBN 978-83-11-14367-8



9 788311 143678 >

www.ksiegarnia-bellona.pl

Nr 12124

patroni media